

Na krańcu wzgórz

Szymon Tadych

Na krańcu wzgórz

Wydawnictwo DEBIUTANT

2025

„Na krańcu wzgórz”

Copyright © by Wydawnictwo Debiutant 2024

Copyright © by Szymon Tadych

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden fragment tekstu nie może być publikowany ani reprodukowany bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I

ISBN:

Korekta: Jadwiga Jęcz

Projekt okładki: Magdalena Czmochowska

Skład: Studio Grafpa, www.grafpa.pl

Wydawnictwo

debiutant

Wydawnictwo DEBIUTANT

ul. Dworcowa 2/3

82– 200 Malbork

www.wydawnictwodebiutant.pl

wdebiutant@gmail.com

wstęp

Drogi czytelniku,

Na samym początku muszę Cię ostrzec – to nie jest zwyczajna książka, której treść można przewidzieć po przeczytaniu kilku stron. Nie dlatego, że fabuła jest skomplikowana. Właściwie wszystko, co się wydarzy, może wydawać się dziwnie przypadkowe... bo tak właśnie jest. Sam nie do końca wiedziałem, co robię, kiedy zaczynałem pisać. Można powiedzieć, że ta historia rozwijała się, jak chciała, a ja byłem tylko zaskoczonym widzem.

Owszem, próbowałem się jej opierać, nadać jakiś sens i kierunek, ale miasto – bo tak, Valparaíso to żywa istota – uznało, że moje plany są niewystarczające. Tak więc błądzimy razem. A może to tylko ja błędzę, a Ty świetnie się bawisz, widząc, jak próbuję nadążyć za opowieścią?

Mam nadzieję, że mimo tej chaotycznej jazdy odnajdziesz w tej historii coś ciekawego. A jeśli nie? No cóż, zawsze możemy ponarzekać razem na to, jak ciężkie jest pisanie książek.

rozdział 1

Miasto zaczynało budzić się do życia, kiedy pierwsze promienie słońca przebijały się przez poranną mgłę, rozświetlając uliczki Santiago. Poranek w stolicy Chile zawsze miał swój niepowtarzalny rytm. Zanim tłumy wylegną na ulice, a hałas samochodów zagłuszy cichsze odgłosy, miasto na chwilę otulało się spokojem. Kawiarnie otwierały swoje drzwi, a delikatny zapach świeżo parzonej kawy mieszał się z chłodnym powietrzem. Na ulicach przemykały pierwsze autobusy, a ludzie, owinięci w płaszcze, spieszyli do swoich codziennych obowiązków. Czyżby to była chwila, w której można było zachwycić się pięknem codzienności? Może. O ile ktoś nie był jedną z tych osób owiniętych w płaszcze, spieszących do pracy, gdzie czekał na nich deadline i szefowie z wiecznym niedoborem kofeiny.

Stare kamienice Santiago w porannym świetle mieniły się pastelowymi odcieniami, podczas gdy coraz więcej okien zaczynało się otwierać, wpuszczając do środka pierwszy oddech dnia. Zieleń parków była jeszcze delikatnie przykryta wilgocią, a alejki między drzewami powoli wypełniały się spacerowiczami. Z oddali dobiegały dźwięki pracujących śmieciarek, a handlarze rozstawiali swoje stoiska na targach, przygotowując się na poranny zgiełk.

Miasto, choć tętniące życiem, w tym porannym momencie było jeszcze spokojne – jakby wstrzymało oddech na sekundę przed codziennym chaosem.

Alejandro siedział przy kuchennym stole, powoli popijając kawę. W mieszkaniu panowała cisza, a jedynym dźwiękiem były odgłosy z radia w tle, które ledwo wyłapywał w swoim skupieniu. W międzyczasie zajął się przeglądaniem dokumentów, które zostawił na stole dzień wcześniej, zupełnie nie przejmując się niczym innym.

Nagle coś przykuło jego uwagę. Kątem oka dostrzegł niewielki ruch pod drzwiami wejściowymi. Zmarszczył brwi, wstał i podszedł powoli do drzwi, zauważając kartkę, która została cicho wsunięta przez szczelinę pod nimi. Poczuł lekkie ukłucie niepokoju. Kto mógł to zrobić?

Otworzył drzwi i wychylił się na korytarz, ale było pusto. Korytarz, zazwyczaj pełen życia i odgłosów sąsiadów, teraz wydawał się dziwnie cichy. Spojrzał w prawo, potem w lewo. Nikogo. Ani śladu. Westchnął, zamykając drzwi i wracając do mieszkania. Podniósł kartkę z podłogi i przyjrzał się jej. Na kartce widniał adres. Zadrżał na moment, gdy uświadomił sobie, że to miejsce doskonale znał.

„Kartka pod drzwiami? No proszę, to coś nowego” – pomyślał, marszcząc czoło. – „Zazwyczaj ONI dzwonił z ukrytego numeru, a ja za każdym razem wiedziałem, kto jest po drugiej stronie słuchawki”.

Musiał teraz udać się do miasta, w którym spędził sporą część swojego życia, choć od dawna tam nie był. Mimo że leżało stosunkowo blisko, zawsze odkładał wizytę na później, aż teraz nadarzyła się

okazja. Adres z kartki był mu dobrze znany, podobnie jak organizacja, do której należał już od jakiegoś czasu, choć do tej pory nie otrzymał od niej żadnego zlecenia.

rozdział 2

Dziewczynka biegła przez wąskie uliczki Valparaíso, trzymając w dłoni kawałek kredy. Jej drobne kroki odbijały się echem po kamiennym bruku, a promienie popołudniowego słońca tańczyły na kolorowych ścianach domów, ale ostre i chłodne powietrze przypominało, że mimo złudzenia ciepła to wciąż zima. Na jednym z murali widniała twarz kobiety otoczona pnącymi się roślinami, jakby sama natura postanowiła dołączyć do dzieła artysty. Dziewczynka przystanęła na chwilę, spoglądając na nieznajome oblicze, a potem, jak gdyby nigdy nic, nakreśliła obok małe serduszko.

Przykłęknęła, rysując na chodniku różne kształty – motyla, który, jak jej się zdawało, mógłby kiedyś ożyć, albo gwiazdy, które, mimo że było wczesne popołudnie, na pewno jeszcze nie pojawiły się na niebie. Co jakiś czas przerywała rysowanie, by poprawić włosy opadające na twarz, i w tym samym momencie rozejrzeć się na boki. Wzrok jej przyciągnęła stara dorożka stojąca na rogu ulicy. Już dawno nie widziała, by ktoś z niej korzystał, a jednak jej obecność wydawała się naturalna, jakby była częścią miejskiego krajobrazu od zawsze.

Wiatr, choć łagodny, niósł ze sobą zimowy chłód znad oceanu, mroząc policzki dziewczynki i wprawiając mewę w niemal leniwe krążenie nad jej głową. Zapach smażonych empanadas z pobliskiego

stoiska mieszał się z wonią wilgoci, którą niosło powietrze od oceanu.

Po chwili rysowania na chodniku wstała, otrzepała kolana z kurzu i ruszyła dalej. Przechodząc obok starych drzwi z wyblakłą farbą nie mogła oprzeć się pokusie, by lekko nie dotknąć drewna. Czuła pod palcami szorstkość i ciepło, które zostawiło słońce, choć powietrze dookoła było wyraźnie chłodne.

Gdy skręciła za róg, zauważyła starego mężczyznę, który codziennie sprzedawał owoce na pobliskim rogu. Jego stoisko było zawsze pełne kolorowych owoców, ułożonych z precyzją, jakby były częścią jakiejś większej kompozycji artystycznej. Dziewczynka uśmiechnęła się do niego, a on odpowiedział lekkim skinieniem głowy, nie przerywając układania bananów w idealny stos.

W końcu dotarła do swojego domu – nieco zaniedbanej kamienicy z żółtą fasadą, która, jak większość budynków w tej dzielnicy, nosiła na sobie ślady upływającego czasu. Drewniane schody skrzypiały pod jej małymi stopami, ale dźwięk ten był dla niej tak znany, że prawie nie zwracała na niego uwagi.

Kiedy wracała do domu poczuła, jak zimne powietrze przenika przez cienką kurtkę. Przyspieszyła kroku, ciesząc się na myśl o ciepłym wnętrzu mieszkania. Gdy otworzyła drzwi, uderzył ją zapach pieczonego chleba, który od razu przywołał uśmiech na jej twarzy. W kuchni, przy stole, siedziała mama, przeglądając gazetę. Gdy dziewczynka weszła, spojrzała na nią z ciepłym uśmiechem.

– Już jesteś, kochanie? Jak było? – zapytała, odrywając wzrok od druku.

Dziewczynka podbiegła do niej, pokazując zakurzone dłonie pełne kredy.